Bezpłatny dodatek do Nr 31. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 5 Kraków, niedziela, dnia 31 stycznia 1937 r. Rok II

Ks. JÓZEF ARCHUTOWSKI

OD JAHWY DO MESJASZA

I) Taki tytuł dał X. Arcybiskup J. Teodorowicz swej wydanej niedawno w Poznaniu (Księg. św. Wojciecha) książce, z której chcę dać sprawozdanie. Dostojny Autor stwierdza, że praca ta wybiega poza zakres jego głównego zadania (X. Arcybiskup pracuje nad życiem Jezusa Chrystusa, i do tego wystarczyłby krótki szkic o znaczeniu Starego Testamentu, a przede wszystkim o proroctwach, które zapowiadały przyszłego Mesjasza), podjął się jej jednak, gdyż chciał rozpatrzeć krytycznie cały szereg twierdzeń i poglądów, jakie w ostatnich czasach zostały wypowiedziane na temat Star. Test. i religii izraelskiej.

1. NAPAŚCI NA STARY TESTAMENT.

Nie było tajne X. Arcybiskupowi, że napaści na St. Test. są bardzo dawne, sięgają już pierwszych czasów chrześcijaństwa; że w XIX w. miały one charakter bardzo poważny i groźny, ale wie również dobrze, że wszystkie te ataki dawne nie umniejszyły powagi ksiąg świętych. Zarówno bowiem racjonalizm, który przeczył czynnik nadprzyrodzony, jak również odkrycia na Wschodzie, które miały być taranem do zwalczania ich powagi historycznej, nie podważyły podstaw Star. Test.

Napaści nowszych czasów przybrały odmienny charakter. Jedne mają swoje źródło w antyżydowskim nastroju, i za cel stawiają usunięcie i zerwanie ze wszystkim, co ma związek z żydostwem albo nawet z chrześcijaństwem, które opiera się na księgach żydowskich. Inne mają charakter spokojnych rozważań, i za cel stawiają krytyczną ocenę religii izraelskiej na podstawie i z uwzględnieniem metod przyjętych w nauce religioznawstwa. Przykładem pierwszych było wystąpienie Fryd. Delitzsch'a, którego praca p. t. **„Die grosse Täuschung"** (1920) została ogólnie uznana za wyraz zacietrzewienia rasowego i zjadliwy pamflet na Stary Testament.

2. HELLENIZM A JUDAIZM PROF. ZIELIŃSKIEGO.

Pracę prof. T. Zielińskiego p. t. **„Hellenizm a judaizm"** (Warszawa 1927) zaliczyć należy do drugiej grupy. Cechuje ją spokojny wykład, jasne ujmowanie problemów; łączy się w niej wielka wiedza autora z niezwykle prostą i przystępną formą przedstawienia. Że ponadto autor usiłował wnikać w tajniki duszy hellenskiej i judaiskiej, odmiennie reagującej na zjawiska religijne, praca jego ma charakter ciekawego studium psychologiczno-religijnego. Te walory książki sprawiły, że w krótkim czasie zyskała ona rozgłos w szerokich kołach naszego społeczeństwa, tym bardziej, że spotkała się z coraz żywszym prądem antyżydowskim.

A tym czasem pod względem treści wewnętrznej, tendencji jak też wniosków, jakie autor wyprowadza, książkę jego należy uważać za ukryty arsenał, w którym się znajdują liczne i mocne pociski przeciwko religii izraelskiej i Star. Test. Dobrze X. Arcybiskup powiada: „co tylko dzisiejszy prąd skierowuje przeciw Star. Test. i umieścił w swych pociskach, zostało starannie wyzyskane przez prof. Ziel.". Prof. Z. nie napada otwarcie na religię izraelską i Stary Test. Uważałby to za rzecz niewłaściwą i nie licującą z powagą naukową. Plan swój przeprowadza w ten sposób, że zestawia i kolejno porównuje poglady i zasady dogmatyczno-moralne w religii hellenistycznej i judejskiej. Zaznacza przy tym, że nie chodzi mu o przedmiotową ocenę religii judejskiej, ale raczej o to, jak ta religia odbijała się w duszy hellenskiej, w jakim stopniu odpowiadała jej potrzebom religijnym.

Nie można prof. Z. odmówić znajomości duszy hellenskiej. Ale Hellen, który w pracy jego wypowiada swe sądy o religii judejskiej, jest zanadto idealny i nie wiele ma wspólnego z rzeczywistością. W okresie hellenistycznym pojęcia i poglądy Hellenów na sprawy religijne i moralne były zgoła inne i bardzo dalekie od pojęć idealnego Hellena, którego prof. Z. przedstawia. Sądzić przeto można, że przez usta owego Hellena przemawia sam prof. Z., którego serce pełne jest uwielbienia dla wszystkiego, co greckie, i który z tego powodu zbyt idealnie ocenia wszystko, co greckie.

Sądy owego Hellena nie wypadły dla religii judejskiej, i nie mogły wypaść, przychylnie. Uważając, że wszystko, co niegreckie, jest barbarzyńskie, nie tylko ocenił ją zbyt ostro, ale wszystkim jej zasadom dogmatycznym i moralnym odmówił wszelkiej wartości. Pojęcie n. p. Boga Jedynego (monoteizm), którego znajomość naród hebrajski przyznawał objawieniu Bożemu, Hellen potraktował lekceważąco i z pogardą; nie widział on w nim nic nadzwyczajnego i osobliwego, nie widział innej różnicy między monoteizmem i swoim politeizmem, jak tylko liczbową, która przecież w sferze metafizycznej nie odgrywa żadnej roli. „Bóg" i „bogowie" to są pojęcia jednowartościowe! Stawiał następnie cały szereg zarzutów pojęciu Boga izraelskiego, jak nietolerancja dla innych bogów, zbyt materialne i ludzkie pojmowanie Jego natury, brak uniwersalizmu i ograniczenie się do jednego tylko narodu, brak w Jego pojęciu przymiotów dobra, piękna i prawdy, które, według niego, decydują o watości religii i są kryteriami religii prawdziwej. Wysuwał wreszcie brak szlachetnych i etycznych zasad, zarówno w prawodawstwie Mojżeszowym, jak też w licznych przepisach rytualnych, gorszył się czynami całego szeregu osobistości Star. Test., a bardziej jeszcze tym, że autorowie, o nich opowiadający, nie znajdowali słowa potępienia. Słowem, stwierdzał Hellen, cała atmosfera w Star. Test. jest zatruta, nic w nim nie ma dobrego i pięknego, religia izraelska jest religia strachu, nie radosnej miłości. Nawet prorocy hebrajscy, w których geniusz narodu się objawił, nie zasłużyli w oczach jego na względy: nie widział w nich nic osobliwego, przeciwnie, wytykał im kłamstwa i różne zbrodnie, jak np. zdradę ojczyzny, porównywał z derwiszami wschodnimi, i wyrokował, że prorocy cięższą klęskę zadali swemu narodowi, aniżeli najwięksi wrogowie-Asyryjczycy i Babilończycy. Nie widząc tedy w religii judejskiej nic dobrego ani pięknego, przeciwnie, stwierdzając w niej wszystko ujemne i najgorsze, nasz Hellen idealny odwrócił się od niej ze wstrętem, aby gdzie indziej szukać prawdy.

3. OGÓLNA OCENA PRACY PROF. ZIELIŃSKIEGO.

Nie tylko apologeta, ale każdy bezstronny czytelnik, po przeczytaniu dzieła prof. Z. ma prawo zapytać: czy naprawdę w religii judejskiej wszystko bez wyjątku było takie wstrętne, złe, fałszywe, i zasługiwało jedynie na ostre słowa krytyki i potępienia? — Czy nic prof. Z. nie znalazł w niej dobrego, jaśniejszego i godnego pochwały? Przecież nawet w najniższych formach religijnych ludów niekulturalnych znajdują etnologowie jakąś perełkę piękną. Czyżby tedy było możliwe, aby w religii judejskiej, której monoteizm, wbrew temu, co prof. Z. twierdzi, stanowi podstawę także wiary chrześcijańskiej, nie było ani jednego rysu lub szczegółu, godnego uznania i pochwały? To też potępienie w czambuł wszystkiego w religii judejskiej musi każdego doprowadzić do wniosku, że taki ostry sąd jest niesprawiedliwy i nieuzasadniony, że musi on chyba pochodzić z uprzedzenia, a może jest dowodem jakiejś choroby duszy. To ostatnie jednak przypuszczenie nie wydaje się prawdopodobnym. Z innych — poprzednich i późniejszych prac prof. Z. — można się domyślać, dlaczego potrzebne mu było poniżenie i potępienie religii judejskiej. Oto, rozważając fakt historyczny, że naukę Chrystusa odrzuciło żydowstwo, a przyjęli Hellenowie i narody shellenizowane, prof. Z. chciał wytłumaczyć powody tego zjawiska; i po dłuższych rozważaniach doszedł do przekonania, które kilkakrotnie wypowiadał, a które ma uzasadnić dopiero w zapowiedzianej pracy p. t. „Chrześcijaństwo antyczne". — że głównym tego powodem był brak ciągłości psychologicznej między judaizmem i chrześcijaństwem, że judaizm, wbrew temu, co mówią teologowie chrześcijańscy, nie był przygotowaniem i źródłem dla chrześcijaństwa, ale przeciwnie, ciągłość psychologiczna istniała tylko między hellenizmem i chrześcijaństwem, — to znaczy, że religia Hellenów lepiej przygotowała umysły do przyjęcia chrześcijaństwa, niż judaizm. A stąd wniosek, który nazywa paradoksem, że prawdziwym Starym Zakonem chrześcijaństwa jest religia Hellenów, a nie religia izraelska. Ten historyczno-kulturalny punkt widzenia uważa prof. Z. za prosty wniosek swych długoletnich badań duszy antycznej, a przede wszystkim hellenskiej. Czy jest on historycznie bezpodstawny, czy też do pewnego stopnia uzasadniony, nie chcę teraz roztrząsać. W każdym razie nie można zaprzeczyć, że przekonanie prof. Z. o religii hellenskiej, jako właściwym przygotowaniu do chrześcijaństwa, odbiło się w wielkiej mierze i wpłynęło na jego nieprzyjazne stanowisko względem religii judejskiej.

4. OBRONA STAREGO TESTAMENTU.

W obronie religii judejskiej wystąpiło dotychczas kilku zaledwie autorów. Ze strony żydowskiej ogłosili w krótkim czasie niewielkie prace **Mateusz Mieses** (Hellenizm a Judaizm, uwagi na marginesie książki T. Z., Przemyśl 1928), i **Edmund Stein**, doc. Inst. nauk judaist. w Warszawie (Judaizm a Hellenizm, z powodu książki T. Z. 1929), którzy zarzucili autorowi rażące błędy, tendencyjność, brak metody naukowej, a nawet brak dokładnego przygotowania naukowego do oceny religii judejskiej. Roztrząsając następnie jedno po drugim twierdzenia prof. Z. wykazywali, że żadne nie wytrzymuje krytyki, że ostre sądy jego o religii judejskiej, o jej dogmatyce i zasadach moralnych są nieuzasadnione i bezpodstawne.

Głosów teologów chrześcijańskich, niestety, było mniej. Ks. prof. **S. Szydelski** napisał „Religia hellenska, Stary Testament i chrześcijaństwo" (Włocławek 1928), w której podobnie poddał krytyce poglądy prof. Z. i dochodził do tych samych wniosków. Podkreślił on przede wszystkim trzy momenty w religii izraelskiej, t. j. monoteizm, czystość kultu i wiarę mesjańską, których nie było w religii hellenskiej, a które religii izraelskiej dawały prawo do specjalnego tytułu i szacunku. Religia grecka, — powiadał — zamarła śmiercią naturalną, zużyła się, stała się pustą, musiała więc stracić wiernych, naprzód na rzecz religij wschodnich barbarzyńskich, a później na rzecz religii chrześcijańskiej. Natomiast religię Starego Zakonu żydzi zachowali po dziś dzień, i dzięki niej zachowali się jako społeczeństwo odrębne, jako naród, choć przeżywali w historii swej losy najcięższe.

Krótkie uwagi ogólne o pracy prof. Z. i ja napisałem na łamach „Głosu Narodu" (1927. XI), w których powiedziałem, że prof. Z. w przedstawieniu religii judejskiej nie okazał właściwego w pracy naukowej objektywizmu, potraktował przedmiot zbyt stronniczo. Przyczynę tego widziałem w tym, że autor, znakomity znawca świata hellenskiego, i oczarowany piękną formą kultury i religijności greckiej, oddał Hellenom całe swoje serce: gdy zabrakło mu należnego dla religii judejskiej uczucia, przedstawienie jej musiało wypaść ujemnie i krzywdząco. O religii judejskiej mam zamiar napisać nieco więcej i wykazać, że nie zasługuje ona na taki surowy sąd, choć jest rzeczą niewątpliwą, że odchyliła się, zwłaszcza w czasach Chrystusowych, od nauczania proroków.

ANNA TUROWSKA

Wieczory nad Krakowem

(Wieczór księżycowy).

Tyś jest złotym księżycem, wtopionym w błękity,
A ja, srebrna gwiazdeczka biegnąca za tobą —
Ty, diademem promieni wieńczysz nieba szczyty,
A mnie, mgły ranne kryją tęsknoty żałobą! —

Ku Tobie wznoszą świata oczy zachwycone,
A ja, ręce wyciągam, dusza w przestrzeń gnana —
Nawet wszystkich mórz fale płyną w Twoją stronę,
A mnie tylko łzy rosy zmywają co rana. —

Wiem! Nie dognam Cię nigdy w błekitów przestworzu!
Bo gdy lądem polecę, zawrócisz ku morzu —
A gdy morzem popłynę, powrócisz do nieba!

Lecz, że w Tobie jest wszystko co dobre i piękne,
Przeto się i ogromów wszechświata nie zlęknę...
I iść — choćby przez wieczność — do Ciebie mi trzeba!!

Dr JAN MAGIERA

Twórca literackiego języka słowackiego

„Wiek oświecenia", Pieśni Ossjana, teorie Herdera wytworzyły w narodach słowiańskich atmosferę życzliwości dla ludowych motywów. U nas poeci Kniaźnin, Karpiński... odświeżyli wówczas język literacki ludowością, na południu zaś słowiańskim żywa mowa ludowa zaczyna się wdzierać coraz silniej do literatury, usuwając starocerkiewszczyznę zupełnie spod pióra pisarzy. U Chorwatów czyni to zakonnik Andrija Kaczić-Mioszić (1756), u Serbów Dositej Obradović (1783), u Słoweńców Walenty Vodnik (1797). Ruch ten uderzył falą w starosłowiańską literaturę na Rusi, gdzie pierwszy Kotlarevskyj zaśpiewał ludową mową rusińską (1798). To samo u Bułgarów uczynił biskup Sofonij (1806). Mowa ludu wzniosła się na wyżyny języka literackiego.

To samo stało się i na Słowaczyźnie, gdzie obok łaciny posługiwano się staroczeską „biblisztiną" do literackiego wyrażania myśli. Już jednak dla Czechów ten staroczeski język biblijny był mało zrozumiały; cóż dopiero dla Słowaków! Po łacinie jeszcze i po czechosłowacku pisał wielki Słowak Bel, (1684—1749) uczony teolog, a równocześnie świetny geograf, historyk i gramatyk, nazwany „magnum decus Hungariae", ale nawet on w łacińskiej przedmowie do gramatyki Doleżalowej oddał pochwałę żywej mowie słowackiej w słowach, że „ona w niczym nie zostaje w tyle ani wobec powagi i dostojności hiszpańskiego języka, nie ustępuje w powabie i gładkości francuszczyźnie, we wzniosłości i sile angielskiemu, bogactwem pojęć i wyrażeń niemczyźnie, ani w miękkości i dźwięczności włoskiej mowie... tak znamienite wykazuje własności, gdy nią mówią uczeni mężowie, wymowni, towarzyscy i wykształceni".

Tę pochwałę ojczystego słowa wziął sobie głęboko do serca Antoni **Bernolak** (1762—1813), który już jako kleryk w trnawskim seminarium rozczytywał się w popularnej „słowaczącej" literaturze ludowo-religijnej, a w Bratislawie zagłębił się w studium gwary ojczystej i języków słowiańskich. Młody teolog ogłosił w 1787 r. w języku łacińskim, ale w duchu narodowym wypowiedziane swe sądy i poglądy na wartość literacką i znaczenie mowy słowackiej w dziełach: „Dissertatio philologico-critica de litteris Slavorum..." i „Linguae slavicae per regnum Hungariae usitatae compendiosa simul et facilis orthographia". Rzucił w nich hasło Reya, że Słowacy „nie gęsi, też swój język znają", że rodzinnym słowem pisarze wypowiadać się winni, a jakich znaków do tego użyć, pokazał im pozytywnie.

Przyjął zasadę serbską: pisz, jak mówisz, — mów, jak piszesz, — zasadę fonetyczną. Ponieważ zaś ciągle obracał się w okolicach, w których mówiono gwarą zachodnio słowacką (nad średnim i dolnym Wagiem), przeto ten dialekt uznał za podstawę literackiej słowaczyzny. Obmyślił pisownię i skodyfikował gramatykę tego języka w 1790 („Grammatica slavica ad systema scholarum nationalium... accomodata). Tą jedną ideą narodową przejęty i opanowany wszystek czas wolny żywota swojego poświęcił gromadzeniu tworzywa i tworzeniu dzieła wielkiego — dziełu Lindego w Polsce odpowiadającego któremu dał imię: „**Slovar Slovensko** czesko-latinsko-nemecko-uherski". Słownik ten ukazał się w druku już jako pogrobowe jego dzieło, bo w 1825—1827 w sześciu tomach, obejmujących aż 5302 stronnic.

Dositej Obradović miał świetnego pomocnika i propagatora nowej literackiej mowy serbo-chorwackiej w zbieraczu i głosicielu pieśni ludowych Vuku Karadziću. Benolakowi pomógł najskuteczniej w szerzeniu słowackiego słowa literackiego Juro **Fandli** (1754—1810), wybitny ksiądz katolicki i popularny pisarz ludowy. Pisał dla rolników i dla bartników pouczające książeczki gospodarcze, a dla wszystkich popularne kazania. I tak wprowadzał w praktykę hasła Benolaka, a dzięki poczytności swych utworów szerzył i gruntował literackość mowy ludowej.

Idea Bernolaka pobudziła poczucie narodowe; na wydawnictwa w narodowym języku nie szczędzili grosza ludzie wybitni. Ostrzyhomski kanonik, Jur Palković łożył na wydanie wspomnianego „Slovara", sam wydał kazania wybitnego kaznodziei Reszetki, poezje Hollego i Pismo święte. Wychowany w tej narodowej kulturze prymas kardynał, arcybiskup ostrzyhomski, Aleksander Rudnay, publicznie głosił o sobie: „Slavus sum; et si in cathedra Petri forem, Slavis ero" (Słowianinem jestem, a choćbym zasiadł na Stolicy Piotrowej, zostałbym Słowianinem). Ofiarność na cele wydawnicze dla szerzenia i popierania piśmienniczego języka słowackiego była nadzwyczajna.

To też w 150 lat od ukazania się „Dysertacji" (w październiku 1937) naród stawia Benolakowi pomniki: w Namestowie, Nowych Zamkach i Trnawie.

Jeśli Bernolak dał początek literackiemu językowi słowackiemu i w pewnej mierze zasługi ma podobne zasługom Reja u nas, tak znowu słowackim Kochanowskim, który w formy językowe tchnął ducha, dał jej serce i artyzm, był Jan Holly, naduniski proboszcz, pierwszy słowacki poeta z Bożej łaski.

Bernolakowszczyzna żywot miała nie długi, ledwie półwiekowy. Narzecze zachodnio-słowackie sprawiało trudności w czytaniu Słowakom ze wschodu, a i pisownia uległa zmodyfikuwaniu. Ugruntował i uporządkował słowacki język literacki w połowie XIX w. Ludevit **Sztur**, przyjmując za podstawę językową narzecze środkowe, zrozumiałe i na zachodzie i na wschodzie Słowacji. To też w dziejach i piśmiennictwa i narodu słowackiego złączone są nierozdzielnie oba nazwiska Bernolaka i Sztura.

Fundament dał Bernolak, gmach wykończył Sztur. Dzięki nim Słowacy stanęli w rzędzie narodu, co swój język mają; równi z równymi.

HENRYK NIDJOL

Pomoc zimowa dla... zwierząt

Śnieg padał i padał — zdawało się — bez końca, a drobniutkie jego płatki zasypywały powoli domy, pola, lasy. Śnieżny, czysty puch okrył całą ziemię, wyrównał nierówności, okrywając wszystko białą powłoką. Jednak na tej czystej bezkresnej bieli śniegowej widać ciemną plamkę. Plama ta zaczyna się poruszać, powiększać i przybierać kształty. Zając! Kto z nas nie zna pięknej lecz smutnej bajki o zającu, który w czasie polowania szukał opieki i schronienia wśród swoich czworonożnych „przyjaciół". Każdy z nich tłumaczył się, że pomocy udzielić nie może. Rezultat znany: „wśród przyjaciół grona — psy zająca zjadły". Tyle o biednym zającu. A są zwierzęta, które potrzebują naszej pomocy, i zadaną im opiekę potrafią się odwdzięczyć.

PSIA BUDA W ZIMIE.

Pies, ten niezawodny i wierny przyjaciel człowieka, jest na ogół zimą biednym i zasługującym na lepsze traktowanie stworzeniem. Nie mam tu na myśli pokojowych pinczerków ubranych w czapraczki, zlizujących smakołyki ze spodeczków i nie o tych będzie tu mowa; lecz o tym legionie bezimiennych stróżów naszego mienia. W lecie to jeszcze pół biedy: buda najczęściej dziurawa, wystawiona na palące promienie słońca, — nadbity garnek służący za miskę, którą sobie Kruczek czy Zagraj zgłodniałym językiem myje. Zima jednak, to już trudniejszy problem. O ile pies nie posiada grubej sierści, jak psy owczarskie, bernardy, pudle i im podobne, a jest krótkowłosy, to z wielką trudnością znosi zimno. Niejednokrotnie zdarzyło mi się zaobserwować fakt, że pies na uwięzi mimo panującego mrozu nie miał w budzie żadnego posłania, albo prawie żadnego. Właściciel psa, interpelowany o powód tak okrutnego traktowania zwierzęcia, miał gotową odpowiedź: „pies jest do pilnowania; gdyby miał w budzie dużo słomy, zaspałby sobie i [illegible] miał z niego?". I jeszcze jedna rzecz smutniejsza, to skąpienie psu pożywienia, robione z wyrachowania w tym mylnym przekonaniu, że pies „który ma być zły — musi być głodny". Jest to pogląd niesłuszny i wprost nieludzki. Borsuk, lis, niedźwiedź, żyjąc na wolności, gdy sroga dokucza zima, zawsze mają zapewnione ciepłe schronienie. Pies, przyjaciel człowieka, uwiązany zazwyczaj na zbyt krótkim łańcuchu, śpi a raczej trzęsie się z zimna w nieopatrzonej budzie z tej jedynie racji, że pan jego trzyma się przesądów, bojąc się, by pies... nie zaspał. Poza tym nie zapominajmy o wielkości — bohaterskich nieraz, chciałoby się powiedzieć — usług psa. Wiemy, czym jest pies dla człowieka północy z krajów podbiegunowych. Lub, co dziś jeszcze robi pies z klasztoru św. Bernarda w Alpach. Jeden z tych psów imieniem „Barry" doczekał się nawet pomnika. Jak głosi w kamieniu wyryty napis, Barry wyratował 40 ludzi od niechybnej śmierci a zginął (zresztą przypadkowo) z ręki 41.

Psy owczarskie, ileż to zachodów oszczędzają człowiekowi, zaganiając umiejętnie zbyt rozproszone owce po halach. Żywione marnie, dzień i noc są na usługi człowieka. W dzień pomagają paść owce, w nocy czujne na każdy szelest, dają znać głośnym szczekaniem o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

Psy myśliwskie, ileż to sprytu i odwagi wykazują na polowaniu, czy to wystawiając stadko kuropatw, szaraka drzemiącego pod miedzą, czy też osadzając dzika do nadejścia myśliwych. Mickiewicz w swoim nieśmiertelnym poemacie „Pan Tadeusz" uwiecznił spór dwóch myśliwych o cenne zalety chartów — Kusego i Sokoła. Adolf Dygasiński, Henryk Sienkiewicz i wielu wielu innych, pisząc o naszym czworonożnym przyjacielu, stale podnoszą jego zalety i przywiązanie do człowieka.

Pies, od którego wymagać będziemy rzeczy niemożliwych, którego traktować będziemy jak zło konieczne, skąpiąc mu garści słomy i ciepłej strawy, nie będzie naszym przyjacielem.

PTAKI NA MROZIE.

Jest jeszcze — prócz psa — inne stworzenie potrzebujące opieki w zimie. Ptak!

Część ptaków nie przyzwyczajona do zimowania w naszej strefie, opuszcza nas już

(Ciąg dalszy na str. 3).

ADAM BAR

Wśród książek

Niejeden recenzent, a napewno także czytelnik, mając przed oczami nowy tom poezyj patrzy nań nieufnie, święcie przekonany, że znajdzie tylko mnóstwo zawiłych, patetycznych metafor, szereg słów, które swym wyrafinowanym układem starają się zaćmić i wchłonąć przeraźliwą pustkę treści. W wielu wypadkach poezja dzisiejsza, to wiersze, w których brak przeżyć poetyckich, a bez przeżyć poetyckich nie ma mowy o prawdziwej poezji; bez ideowego trzonu często i najpiękniejsze słowa tracą swą wymowę. Jakżeż odbijają od poetyckiej frazeologii już nawet swym skromnym tytułem **„Rymy i rytmy"**, wydany ostatnio zbiorek poezyj **Macieja Szukiewicza**, poety, który wyszedł ze szkoły Młodej Polski i w swym dorobku literackim może się poszczycić bogactwem plonów. „Rymy i rytmy", jak zwykle każdy tego rodzaju wybór poezyj, dokonany przez samego autora, stanowią bezwzględnie najdoskonalszy materiał do charakterystyki twórczości, dając niejako skrót, syntezę poetyckiego talentu Szukiewicza, talentu niepowszedniej wartości.

Szukiewicz, to wybitny liryk. Poezja jego wypływa z najgłębszego przeżycia, jest cząstką jego psychiki, wypadkową wzruszeń i doznań, wynikających z obcowania z całym zewnętrznym światem. Dlatego jest ona szczera i pełna istotnej, niezakłamanej treści. Wiersze Szukiewicza czy są modlitwą (Kiedy ranne...), balladą czy baśnią (Na wyrębie), żołnierską gawędą (Na opak), czy ich tematem jest przyroda (Nad stawem), czy też motywy klasyczne (Dionizos) przemawiają do czytelnika jasnością formy i głębią treści przemyślanej i przeżytej w najdrobniejszych szczegółach. Poecie nie zależy na jakimś retorycznym popisie, tworzy z najgłębszego nakazu swego ja, nie dba

...że pośród ogromu
Pieśni mojej nie ma komu
Słuchać.
Nie śpiewam jej dla nikogo
Z ukrytych w niej istności min
Wybucham, bo chcę wybuchnąć,
Bo to mój żywioł i mój czyn.

Oto słowa poety, które śmiało można by położyć na czele jego **„Rymów i rytmów"**. W bardzo szczegółowej i pięknej analizie duchowych elementów, składających się na osobowość poetycką poety, Karol Koniński słusznie doszukuje się analogij między Szukiewiczem a Kasprowiczem, Żuławskim, — trafnie podchwytuje związek i z innymi czołowymi przedstawicielami Młodej Polski, jak z Przybyszewskim i Tetmajerem. Jednak twórczość Szukiewicza, tkwiąca swymi korzeniami bardzo silnie w gruncie tamtej epoki ma w sobie świeżość naszych dni. Tematy są żywe i aktualne, tak żywe i aktualne jak sam byt. Dlaczego? Dlatego, że dotyczą zagadnień wiecznych, jak ból i zło, jak śmierć i stawanie się, jak tęsknota za Bogiem, jak podziw dla dzieł sztuki i natury, są żywe, bo w poezji Szukiewicza jest cały człowiek i cały wszechświat, we wspólnej orbicie trwania. Wyzwolenie uczuć ludzkich w obcowaniu z przyrodą, refleksje wobec ogromu gór, czy skrętów płynącej rzeki, zadumy wśród szumiącego sitowia, czy pod przydrożną wierzbą — to najbardziej charakterystyczne tematy zbiorku, zadziwiające prostotą, szlachetnością formy i głębią analizy psychologicznej. Lecz obok tej liryki refleksyjnej, znajdziemy utwory patriotyczne, skrzące się staropolskim humorem (Jak Berbecki) i utwory rzewne, że łzy z oczu wyciskają, jak prześliczny wiersz, poświęcony Pamięci Orląt Lwowa. **„Rymy i rytmy"** są owocem nie tylko ogromnie szerokiej skali poetyckiego talentu Szukiewicza, ale świadczą również treścią jak i formą o wysokiej kulturze wewnętrznej poety, dla którego poetycka wizja jest głębokim przeżyciem.

Zainteresowanie literaturą podróżniczą, posiadającą zawsze gorących zwolenników, w dzisiejszych czasach jest szczególnie silne. Działają tu różne czynniki, które tak czy inaczej rozpatrywane, składają się z najistotniejszych elementów psychiki współczesnego człowieka. Chęć poznania obcych krajów nie jest nowa; są ludzie, u których pęd do podróży jest namiętnością, równie silną jak każda inna, ale nowe jest dzisiaj pragnienie oderwania się od rzeczywistości, szarej, codziennej pracy, a może również łaknienie złudnej pociechy, że gdzie indziej też nie jest lepiej. Są to jednak zagadnienia, które wymagałyby szerszej perspektywy rozważań, opartej na głębszej i daleko rozleglejszej podstawie; tutaj wystarczy tylko stwierdzić, że literatura podróżnicza jest dzisiaj najbardziej poszukiwaną. U nas posiada ona już wybitnych przedstawicieli, że bodaj tylko wspomnieć Fiedlera, Jantę-Połczyńskiego, Lepeckiego.

Nowa książka **Arkadego Fiedlera** p. t. **„Kanada pachnąca żywicą"** (wyd. Roju) zbiegła się bardzo szczęśliwie z nadaniem mu nagrody m. Poznania, pierwszej u nas nagrody literackiej, nadanej za książki podróżnicze. Już pierwszym swoim dziełem p. t. „Ryby śpiewają w Ukajali" wysunął się Fiedler na czoło naszych pisarzy-podróżników dzięki swojej charakterystycznej indywidualności zarówno artystycznej jak i czysto ludzkiej. Tytuły dwóch następnych **książek** to jakby tytuły do jego sławy: „Zwierzęta z lasu dziewiczego", — „Kanada pachnąca żywicą" — zwierzęta zamieszkujące puszczę i sama puszcza jako potężny żywioł, w którym człowiek odnajduje siebie samego wchłania istotny rytm życia, sięga poprzez stworzenie do głębszych zagadek bytu. Fiedler jest doskonałym plastykiem, jego puszcza tętni życiem, mieni się wszystkimi barwami, jest tajemnicza, pełna niezwykłości, jak wszystko, co jest pierwotne i nie sfałszowane blaskami cywilizacji. Fiedler tę puszczę zna, czuje i rozumie. Pochłania ona całą jego istotę, wabi swoją zagadkowością i uczy nowej filozofii życia. Niejeden może nazwie twierdzenie, że przyroda uszlachetnia człowieka, sentymentalnym paradoksem, niech i tak będzie. A jednak nie jest to paradoks. Poznanie życia puszczy, odkrywanie przedziwnych tajemnic różnych zwierząt, tę puszczę zamieszkujących, uczy Fiedlera miłości wszelkiego stworzenia. Każde zwierzę jest jego serdecznym przyjacielem, nawet dla drapieżników ma dobre słowa usprawiedliwienia. I to są właśnie najcharakterystyczniejsze znamiona jego twórczości: puszcza tajemnicza, żywa, niesłychanie plastyczna w swojej realistycznej rzeczywistości, i miłość dla zwierząt. Zdaje się, że te dwie cechy współistnieją obok siebie nierozdzielnie, jedna uzupełnia drugą. W ostatniej książce opowiada Fiedler o Kanadzie, szybko opuszcza miasto i zagłębia się w puszczę, podziwia jej niezmierzoność, rozległość piękna krajobrazu, zwierzęta, które ją zamieszkują, z którymi nie raz się styka i traperów zaszytych w puszczę, pędzących samotny żywot, i szczupaki drapieżne w jeziorze, i ptaki mięsożerne i igłozwierza czy niedźwiedzicę — to wszystko jest niesłychanie ciekawe, nieznane i tak ogromnie bogate w treść. Jest to piękna książka, wzru-

Pomoc zimowa dla... zwierząt

(Dokończenie ze str. 2)

w jesieni, odlatuje do krajów, gdzie warunki klimatyczne pozwalają na spędzenie w znośnych warunkach zimy. Natomiast przenoszą się do nas na okres zimowy z krajów wysuniętych dalej na północ, gdzie zima jest więcej śnieżna i mroźna, takie ptaki, jak gile, jemiołuszki, czemiotki i in. Stąd te stadka ptaków, których normalnie w lecie nie spotykamy. I tym potrzebna opieka. Sikorki wszelkich odmian i gatunków, zasługują ze wszech miar na naszą pomoc w zimie, zwłaszcza ze strony tych, którzy myślą o przyszłości naszych sadów. Nie pomogą opaski lepowe, nie pomoże spryskiwanie drzew i bielenie, gdy nie będzie ptaków owadożernych. Tam gdzie dużo gniazd ptasich, gdzie karmniki ptasie w zimie są zasilane hojną dłonią, tam drzewa rozwijają się pięknie i nie stają się ofiarą żarłoczności owadów-gąsienic. Pomoc świata skrzydlatego w tępieniu wszelkiego rodzaju szkodników jest wprost nieoceniona. To samo tyczy się lasów.

Ptaki są bardzo wytrzymałe na zimno. Bardziej groźnym dla nich jest głód. Nieraz może zdarzyło się nam spotkać zmarznięte ptaki; jest to jednak wypadek rzadki; trzeba bardzo silnego mrozu, by ptak padał jego ofiarą. Ptaki są — jak już powiedziałem — dość wytrzymałe na zimno i gdyby uciekały jedynie przed nim, trudno było by pojąć, dlaczego n. p. pozostaje u nas na zimę maleńki strzyżyk, a dużo większy od niego kos musi wędrować. Zresztą bywały wypadki, że i kosy zimowały w bliskości osiedli ludzkich, o ile dbano o to, by im w zimie nie brakło pożywienia.

Garść ziarna rzucona naszym sprzymierzeńcom, zaopatrzenie schronienia dla naszego czworonożnego przyjaciela, będzie właściwą — „pomocą zimową“ dla... zwierząt.

Rozmaitości

Niezbadane tajemnice globu ziemskiego

Gdy cofniemy się kilka lat wstecz, stwierdzimy, że atlasy nasze posiadały wiele miejsc, oznaczonych tylko białą plamą. Pomimo olbrzymiego rozwoju lotnictwa do dziś dnia istnieją jeszcze całe połacie o olbrzymich rozmiarach, które są całkowicie niezbadane i nieznane. Samolot nie wszędzie może dotrzeć, a dotarłszy nawet, wskutek specjalnych właściwości terenu, jest bezużyteczny, albo też natrafia na niepokonane przeszkody. Wielu doświadczonych lotników twierdzi, że chętniej przelatywali nad oceanem, jak np. nad puszczami brazylijskimi.

Do okolic całkowicie nieznanych należy szósta część świata, Antarktyda, obszarem większa od Europy. Odbył się już niejeden lot w okolice bieguna południowego, lecz wszystkie wiadomości i materiały są zbyt skąpe, aby zbadać dokładnie, co kryją olbrzymie góry, dochodzące do 3.000 metrów wysokości, pokryte wiecznym lodem i śniegiem. Kryją one niezawodnie w sobie duże bogactwa, które ludzkości w tej chwili są niedostępne.

Olbrzymie przestrzenie Ameryki Południowej swoją wielkością dorównujące Australii należą również do „białych plam“. Okolice podzwrotnikowe są niezbadane jeszcze, dostępu bowiem bronią olbrzymie puszcze o takim podszyciu, że bez specjalnych narzędzi trudno jest posuwać się w tych stronach. Puszcze brazylijskie należą do dziewiczych. Mają tam rzekomo żyć dziwne zwierzęta i biali Indianie. Wiele takich fantazyj krąży o tych okolicach. Niezbadane są także okręgi górskie i leśne Boliwii, Ekwadoru i Gujany. Wnętrze Nowej Gwinei jest również niezbadane. Różne ekspedycje naukowe holenderskie pracują systematycznie nad zdobyciem tajemnic potężnych łańcuchów górskich, bronionych przez niezwykłą roślinność parowów i wąwozów.

Sahara, dzięki specjalnym samochodom, staje się coraz więcej znaną. Południową jej część, do niedawna jeszcze „białą“, zbadał Anglik, Philby. Austriak, dr. Gabriel, opisał najgorętszą część ziemi, pozbawioną wody — Pustynię Perską.

Dużo jeszcze pracy czeka odkrywców i uczonych wnętrze Australii, dzikie i niedostępne, wskutek podszycia twardymi, klującymi, chwastami..

Centralna wytwórnia szkieletów w Sowietach

Mało komu wiadomo, że jedną z najpoważniejszych pozycyj w sowieckim bilansie wymiany towarowej ze Stanami Zjednoczonymi stanowi eksport... szkieletów ludzkich. W roku ubiegłym Sowiety wywiozły do Stanów Zjednoczonych około 6.000 szkieletów, cena których waha się od 100 do 120 dolarów. W Leningradzie znajduje się centralna wytwórnia tego „artykułu“ eksportowego, do którego „surowiec“ pochodzi w olbrzymiej ilości z Wysp Sołowieckich i więzień.

Obecnie amerykańskie instytucje naukowe są zaniepokojone pogłoskami o projektowanej przez centralną wytwórnię szkieletów w Leningradzie podwyżce cen. Sowiety swą bezkonkurencyjność w dziedzinie dostawy szkieletów postanowiły odpowiednio wyzyskać przez podniesienie nań ceny.

—o§o—

Rozrywki umysłowe Nr 5/44

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Konkurs I. (d. c.)

ZADANIE 9. — REBUS NA CZASIE.

ul. „Kasta“ — czł. Kl. Szar.



ZADANIE 10 — SZARADA Z CYKLU „ROZKOSZE ZIMOWE“.

ul. „Dziadek z Bakszty“ — czł. Kl. Szar.

Natura sama **dwa-raz** u nas złe chwasty.
Zdeklarowane chyba **pierwsze-trzecie,**
zarówno męże, jako i niewiasty,
nic wiedzieć nie chcą, jak pięknie na świecie.
A może się z nich kto dziś mrozu **cztery,**
że nie pomaga naszej dziatwie w **całem?..**
Wychodźcie z domu, stare marudery:
mróz dzisiaj zelżał, jak się przekonałem!
Przy **czwór-pięć-trzecim** oto, patrzcie mili,
jaka wre praca: tu majstrowie mali
reżbią nos, oczy, tam się **któryś** sili
nad rąk konstrukcją (ktoś się, słychać, żali,
że **pierwsza-piąta** cokolwiek za długa!)
Gdy „arcydzieło“ wreszcie jest gotowe,
niejedno oczko radością zamruga...
Niktórzy mają już pomysły nowe:
w wieczór, gdy **szósty** na niebie zawiśnie,
przyjść i urządzić tu **drugie-trzecie,**
niech z piersi dziatwy hymn w niebo wytryśnie
i powie: „W zimie tak cudnie na świecie!“

ZADANIE 11. PRZESTAWIANKA ZIMOWA.

ul. „John Ly“ — czł. Kl. Szar.

1. ZIMA + Oka = barwny ornament, ozdoba pałaców,
2. ZIMA + Okop = jagoda leśna, dobrze za nią płacą.
3. ZIMA + Nie + IK = chętnie codziennie na obiad się jada.
4. ZIMA + Koc + Set = nie wieś, nie miasto, a jednak osada.
5. ZIMA + Rok + Ni = dla dzieci bywa on postrachem nieraz.
6. ZIMA + Czek + San = z góry na wiejskie niewiasty spoziera.
7. ZIMA + Atom + Poe = kraj w Azji słynny w starożytnej dobie.
8. ZIMA + Grdon + Ewa = wydarcie życia drugiemu — nie sobie.

Z powyższych par, względnie trójek wyrazów ułożyć wyrazy nowe wedle podanych określeń.

ZADANIE 12.

ul. **W. Nosé** — czł. Kl. Szar.

Znaleźć 13 wyrazów 5 literowych, według podanych określeń. Litery rzędu 1 i 2, czytane parami, pionowo, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka we Francji, 2. Agencja pocztowa między Wronkami a Drawskim Młynem, star. Szamotuły, wspak, 3. Cukrownia, kopalnia soli kamiennej w pow. Inowrocławskim, wspak. 4. Dawna stolica Japonii, 5. Miasto w Kaszmirze w Himalajach, wspak, 6. Miasto portowe w Szwecji, 7. Państwo w Europie, 8. Prawy dopływ Wezery, 9. Miasteczko nad rz. Czerniejówką, w Lubelskim, 10. Miasto portowe w Japonii, 11. Miasteczko w powiecie Cieszanowskim, woj. Lwow. 12. Wyspa na morzu Egejskiem, 13. Rzeka w Europie.

P. S. W zadaniu Nr. 4 (Szarada Kultura a rebours) w dodatku Nr. 3, z dn. **17 bm.** został opuszczony w pierwszej zwrotce wiersz V:

„gdy **ośm-dziewiąte** — słowem pustem“,

co niniejszem uzupełniamy.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ POZAKONKURSOWYCH:

z Nr. 35 — zadanie 1. — Szarada: Refleksje listopadowe; **zadanie 2. — Szarada:** Listopadowa elegia.

z Nr. 36 — zadanie 1. — Bilety wizytowe: Pianista, kompozytor, kapelmistrz; **zadanie 2. — Szarada:** Polowanie na lisa; **zadanie 3. — Szarad:** Dimentów cnota nieskalana.

Nagrody za rozwiązanie powyższych zadań drogą losowania otrzymują: **za Nr. 35 — p. M. Zalewska z Warszawy** — cykl pocztówek Grottgerowskich; **za Nr. 36 — p. A. Człuśniak z Dembowca** — książkę.

Nagrody zostaną wysłane w tych dniach, odbiór ich prosimy łaskawie potwierdzić.

szające nieraz opowiadanie o tym, co się dzieje w kanadyjskiej puszczy.

Z książek **Lepeckiego** niewątpliwie na czoło wybija się jego ostatnie dzieło p. t. **„W cieniu Kordylierów“** (wyd. J. Przeworskiego). Najpierw sam temat jest fascynujący, ze względu na mało u nas znaną egzotykę, albo zupełnie nieznaną. Bo jak stwierdza Lepecki we wstępie, o Boliwii będzie to zapewne pierwsza polska relacja podróżnicza, o Paragwaju bodaj trzecia. To też już sam temat, mało znany (o krajach po obu stronach Gran Chaco wiemy niewiele więcej ponad to, że tam niedawno rozgrywała się krwawa wojna) nakładał na autora pewne obowiązki, a przede wszystkim zmuszał go do rozszerzenia strony informacyjnej. Lepecki jednak postępuje ostrożnie, zdając sobie sprawę, że książka podróżnicza wywatowana zbyt obficie informacjami nie budzi zainteresowania; to też największy nacisk kładzie na recepcję wrażeniową, informacje pozostawiając tylko tam, gdzie tego zachodziła bezwzględna konieczność. Starał się uchwycić zarówno w Boliwii jak w Paragwaju momenty najbardziej charakterystyczne, sprezentować przed czytelnikiem to co jest najistotniejsze i najdziej mówiące. W Boliwii, kraju spod chmur, przeszedł miejsca najmniej cywilizowane; stąd wędrówki po jeziorze Titicaca, pobyt w wioskach indyjskich i t. d.; odwrotnie w Paragwaju, gdzie starał się zwiedzić ośrodki cywilizacyjne, opowiada więc najszerzej o Gran Chaco i przyczynach wojny boliwijsko-paragwajskiej, o koloniach polsko-ukraińskich, stanicy gen. Bielajewa i t. d. Wszędzie daje opis barwny, gdzieniegdzie poparty wyczerpującymi informacjami. Egzotyka obu krajów, odrębność kultury, charakterystyczny krajobraz i mało znane stosunki obyczajowości — te momenty wysuwa Lepecki na czoło w swoim opowiadaniu. A że to opowiadanie jest barwne, plastyczne i potoczyste, więc i książka tym bardziej interesująca.

Inny typ przedstawia książka niemieckiego pisarza **Ryszarda Katza** p. t. **„Iskrzący się Daleki Wschód“** (wyd. J. Przeworskiego). Katz unika szablonowego rejestrowania tego co widział i tego, co odczuł. Nie stara się nawet ująć swojej książki w jakąś spoistą całość, przeskakuje z tematu na temat, rzuca ułamkami wrażeń. Powstaje wskutek tego dzieło naprawdę osobliwe. Czytelnik, który przyzwyczajony jest, że go autor prowadzi za sobą tam gdzie chce, że go od czasu do czasu poucza, i wszystko wyjaśnia wedle swego rozumowania i wyładowuje przed podróżą specjalnie nabytą wiedzę, u Katza nie znajdzie nic z tego. Już na pierwszy rzut oka dostrzegamy w niej jakąś nową formę książki podróżniczej. Autor opowiada o Chinach, Korei i Japonii; są to więc tematy na ogół znane, a przynajmniej każdy sądzi, że o tym cośkolwiek wie. Katz jednak twierdzi, że duszy żółtego człowieka nikt nie rozumie; posiada ona swoje charakterystyczne właściwości, swoje wyczuwalne, ale mało rozwiązalne tajemnice. I dlatego nie kusi się o jej rozwiązanie, choć wyznaje, że w intencji jego leżało poznać tych ludzi i zobaczyć te kraje nie po to jednak, aby każdą ciekawostkę brać pod lupę i mentorskim palcem pokazywać ją czytelnikowi. Ostatecznie ogólny obraz zawsze składa się ze szczegółów, choć tym obrazem nie są. To też Katz wybiera tylko momenty najlepiej określające duszę Chińczyka czy Japończyka, i szuka w nich raczej pewnych nic pozornie nie znaczących drobiazgów. Przy czym przeskakuje z tematu na temat. Książka jest niespokojna, nie pozwala na śledzenie drogi podróży autora wedle mapy, ponieważ przed naszymi oczami przesuwają się obrazy **luzem rzucone.** Czasem opis krajobrazu oszczędny, nawet skąpy, kiedy indziej rys obyczajowy, albo ciekawostka z codziennego życia, zwyczaj nie wymykająca się spod kąta naszej obserwacji, ale bardzo charakterystyczna, albo wreszcie fragmenty rozmów czy nawet kilku zdań, tworzących oryginalny aforyzm. W tych ułamkach spostrzeżeń panuje ogromna rozmaitość, niemal chaotyczność, ale z pewnej perspektywy obraz nabiera istotnie przedziwnej plastyki i wyrazistości. Szczegóły ostro odcinają się, zagadnienia ważne z mniej ważnymi stapiają się w spoistą całość. Książka jest pełna jakiejś przemożnej żywotności i odbija się bezpośrednim rezonansem w naszych wrażeniach. Dzieje się to również dlatego, że powstała z bezpośrednich notatek robionych podczas podróży.

Postać wielkiego, francuskiego męża stanu Talleyranda niejednokrotnie była przedmiotem ożywionej dyskusji i drobiazgowych badań historycznych, w których starano się powiązać sprzeczności istniejące w tym człowieku. Biskup i członek konwentu rewolucyjnego, „czerwony“ i „reakcjonista“, napoleoński minister i współtwórca restauracji Burbonów — to są wytyczne drogi w życiu Talleyranda, z których, co krok, jedna prowadzi na prawo a druga na lewo. Te wszystkie sprzeczności pogodzić, zestroić i uzasadnić możliwości ich istnienia na tle jednolitej psychiki człowieka i jednolitego światopoglądu stara się angielski minister wojny **Duff Cooper** w swojej książce p. t. „Talleyrand“ (tł. J. Szpechta, wyd. J. Przeworskiego). Autor nie pisze rozprawy historycznej, ale raczej stoi na pograniczu między naukowymi rozważaniami, a popularnym dziś romansem biograficznym. Ze szczególną swobodą porusza się w rozległym materiale historycznym na przestrzeni burzliwych wypadków, wypełniających historię francuską, począwszy od wybuchu rewolucji aż do śmierci Talleyranda. Każdy fakt w życiu ministra konfrontuje z możliwościami historycznymi i psychiką człowieka, pragnie między niezbitą rzeczywistością, popartą badaniami historycznymi i wydedukowanym obrazem jego psychiki stworzyć łączność, aby w ten sposób powstał obraz żywy i od prawdy nie odbiegający. To też Talleyrand w jego książce istotnie jest żywy. Prawda historyczna świetnie godzi się tutaj z anegdotą, w której zawsze tkwi jakaś cząstka żywego człowieka. To też Cooper chętnie posługuje się anegdotą, tam gdzie ona jakieś wypadki lepiej oświetla. Ale równocześnie rozdrabnia pozornie nic nie znaczące szczegóły, sądząc, że i one mogą dorzucić jakieś światło na życie człowieka. W ten sposób drogą troskliwej analizy faktów rekonstruuje życie człowieka w tym przeświadczeniu, niewątpliwie uzasadnionym choć może pozornie absurdalnym, że wszelkie sprzeczności, wypełniające burzliwe życie Talleyranda wypływały z jednokierunkowej linii jego światopoglądu. Nawet zdrada Napoleona i przejście do Burbonów były rezultatem tylko wierności wobec siebie samego. Ale na dnie tych finezyj historycznych kryje się również pogląd autora na ówczesne czasy; widoczna jest niechęć do rewolucji, a ciepło sympatii dla francuskich magnatów, choć i to powiedzieć należy, że z tymi poglądami Cooper nigdy demonstracyjnie się nie zdradza. Ale one właśnie pozwoliły mu niejedno w postępowaniu Talleyranda usprawiedliwić, i może nawet lepiej dostrzec to, co łatwo mogłoby z pola obserwacji zniknąć.

KUPON Nr 5/44

ważny do dnia 23 lutego 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Kto obserwował antyreligijne ruchy w świecie, był nieraz uderzony tym, że jego kierownicy nie są nigdy syci i zadowoleni. Osiągnąwszy jeden cel, stawiają drugi, po tym trzeci... Nie są nigdy zadowoleni. Mierzi ich najdrobniejszy ślad religii. Chcieliby ją bez reszty zniszczyć. Zwyczajnie rozdział Kościoła od państwa jest najbliższym celem ich dążeń. Osiągnąwszy go, biorą się do szkoły, do ustawodawstwa rodzinnego i małżeńskiego. Po tym do samego życia religijnego jednostek. Nie dają im spać nawet budynki kościelne; burzą je, zmnieniają na świeckie budowle. Gniewa ich habit zakonnika. Z równowagi wyprowadza nawet obecność zakonnicy w szpitalu... Te uwagi nasuwa akcja podjęta przez pismo „l'Emancipation" (Wyzwolenie), organ socjalistycznego związku pracowników publicznych, w sprawie szpitali we Francji, które jeszcze gdzieniegdzie zatrzymały obsługę zakonną.

„OSTATNI JEZUICI".

„Leży nam na sercu — czytamy w tym piśmie — pewna rzecz, należąca do dziedziny sprawiedliwości i postępu: — sprawa zeświecczenia szpitalnictwa. Winno się ono dokonać nie lokalnie, ale na terenie całego państwa winniśmy żądać, by — jak to oświadczają nasi towarzysze z Nantes — — „czarna i zielona szarańcza" (!) zniknęła z naszych szpitali. I to nie dlatego, byśmy byli uprzedzeni do zakonnic, ale dlatego, że tam, gdzie się znajdują, stwierdzamy zawsze odwrót ku reakcji, i że wszędzie starają się niszczyć zawsze prawa społeczne. Są bowiem w szpitalach, nie by pełnić uczciwą pracę, ale są tam umieszczone przez zakon dla celów propagandy. Biedne te i fanatyczne niewiasty spełniają swoją pracę tylko dlatego, ponieważ wierzą, że każdy dzień stanowi dla nich zasługę na niebo.

My, „materialiści", zwracamy się przeciw temu stanowi rzeczy, ponieważ chorzy cierpią z powodu nadgorliwości zakonnic, ponieważ — z drugiej strony — świecki personel szpitalny czuje się upośledzonym do roli „służby" lub „niewolnictwa".

To się musi skończyć. Nasze związki zawodowe (C. G. T., socjalistyczne) istnieją tylko tam, gdzie (w szpitalach) Siostry nie mają najwyższej władzy... Dziś, w 30 lat po reformach Combes'a, rząd winien podjąć laicyzację szpitali, — zniszczyć te „urzędowe" ogniska, w których jezuityzm panuje i chlubi się swym triumfem. Nasz minister zdrowia nie może nie widzieć, że szpital stał się publiczną zakrystią, w której kryją się ostatni na ziemi francuskiej Jezuici..."

ARGUMENTY.

Mało tego!... Zacietrzewienie tych zaślepieńców idzie tak daleko, że tej „reformy" szpitalnictwa domagają się bez względu nawet na to, co to będzie „kosztowało"...

„Wiemy dobrze — czytamy dalej w tym piśmie — że usłyszymy, iż zakonnic prawie się nie opłaci (!) i że dzięki nim robi się wielkie oszczędności budżetowe, ale my, syndykaliści, wiemy, że się robi wiele wydatków, które kosztują miliony... Konieczna jest rzeczą zrobienia ofiary, by znaleźć pieniądze na laicyzację tych zakładów,... ponieważ żyjemy w wieku postępu, mamy szczęście (!) posiadać rząd „Frontu Ludowego" z ministrem zdrowia, który wrócił z podróży po Unii Sowieckiej, i który z pewnością stwierdził, że, gdy nie ma zakonnic, chorych pielęgnuje się z wielką starannością, a poświęcenie (dla nich) znajduje się na wyższym poziomie, niż u nas".

Wreszcie jako ostatni, najmocniejszy, argument w tej sprawie „l'Emancypation" opowiada taki wypadek z jednego z paryskich szpitali: — Umiera dozorczyni tego szpitala. Jej córka, czyniąc zadość prośbie umierającej matki prosi pielęgniarkę o sprowadzenie księdza... „To niepotrzebuje komentarza", — zauważa „l'Emancipation"... Jak funkcjonariuszka państwowa śmie żądać religijnej posługi?

NIE BĘDĄ SPOKOJNI.

Wystąpienie z żądaniem „laicyzacji" szpitali jest niezwykle znamienne... l'Emancipation" zapewnia, że nie jest uprzedzona do zakonnic, nie oskarża ich też wyraźnie o złe spełnianie obowiązków, lub o złe obchodzenie się z chorymi (poza zarzutem „nadgorliwości", co ma związek z ich gorliwością w sprowadzaniu księdza na życzenie chorego). Dalej, syndykalistyczny organ przyznaje, że projektowana „laicyzacja" podniosłaby znacznie koszta utrzymania szpitali. Jednak mimo to, woła o wyrzucenie zakonnic ze szpitali. Dlaczego? Tylko dla tego, że — zakonnice reprezentują skazany już przez Combes'a świat religii na śmierć. Tylko dlatego, że ich ostatni ślad religii w życiu społecznym Francji gniewa i oburza.

Być może, że Francja zdobędzie się jeszcze na tę „ofiarę" budżetową i zakonnic, których się „prawie nie opłaca", zastąpi świeckim personelem, któremu trzeba będzie zapewnić normalne utrzymanie z kasy państwa. Lecz nawet to jeszcze nie rozwiąże sprawy, o którą chodzi projektodawcom z „l'Emancipation". Zostaną pewne ślady religii. Zostanie choćby potężny gmach Notre Dame... A no, trzeba go będzie zburzyć. Aby zaginął wszelki ślad „jezuityzmu". Aby panowie z pisma syndykalistycznego choć przez chwilę przeżyli złudzenie, że — nie ma Boga, nie ma nic poza tym światem... Lecz panowie bezbożnicy nigdy nie będą spokojni!

„SYMPATIE" KOMUNISTÓW DLA RELIGII.

Pisaliśmy w „Głosie Narodu" na temat nieszlachetnych metod, których się polska prasa socjalistyczna chwyta, by wybielić hiszpański „Front Ludowy" i jego rząd z zarzutów, iż walczy z religią. Antyreligijne stanowisko komunistów i anarchistów, będących jądrem „Frontu Ludowego", nie ulega żadnej wątpliwości, a zbałamuceni katoliccy Baskowie, którzy do niego należą, przedstawiają pewną siłę tylko na swoim terenie, żadnego zaś wpływu nie wywierają na politykę rządu z Walencji.

Dla zilustrowania prawdziwych uczuć „Frontu Ludowego" w stosunku do religii warto tu przytoczyć z „la Croix" treść artykułu, z którym — nie pierwszy raz — wystąpił dziennik anarchistycznego syndykalizmu w Barcelonie, „Solidaridad Obrera" (Solidarność Robotnicza). Pismo paryskie podaje fotografię odnośnej strony tegó pisma i tekst inwektywy. Tekst ten brzmi:

„Abajo La Iglesia" (Precz z Kościołem)... A dalej w dosłownym przekładzie: „Trzydzieści (!) wieków religijnego obskurantyzmu zatruło ducha narodu hiszpańskiego. Kościół miał zawsze ducha reakcyjnego. Proboszcz, zakonnik, Jezuita kierowali Hiszpanią. Trzeba wytępić ten gatunek". Po tym — fotografia armaty, i wreszcie słowa: „Kościół winien być z korzeniami wyrzucony z naszej ziemi"... W innym numerze „Solidaridad Obrera" pisała: „Oko za oko, ząb za ząb. Należy bić i zabijać każdego klerykała".

Tak to wygląda ta „sympatia" hiszpańskiego „Frontu Lodowego" do chrześcijaństwa, o której naiwnych swoich czytelników zapewnia „Robotnik".

Pejot.

Wiedza i charakter

Czy człowiek przez naukę, przez studia i rozwój swego umysłu może zdobyć równowagę ducha, spokój i radość? Jest to pytanie praktyczne i życiowe, a wyjątkowo aktualne u nas, gdy z trybuny sejmowej głoszone są tezy o wielkich zagadnieniach wychowania młodzieży, o związku jaki zachodzi między nauczaniem szkolnym a fizycznym i moralnym zdrowiem młodzieży. (Por. Przemówienie min. Świętosławskiego na komisji budżetowej Sejmu 22 stycznia r. b.).

Na to pytanie usiłuje dać odpowiedź słynny pedagog O. M. S. Gillet Z. K. w swej książce „Kształtowanie charakteru", która świeżo ukazała się w tłómaczeniu polskim. „Nasuwa się pytanie — pisze O. Gillet — w jakiej mierze i pod jakimi warunkami nawyki intelektualne, inaczej mówiąc wiedza, zdołają ułatwić człowiekowi całkowity rozwój jego osobowości moralnej? Jasnym jest, zauważmy najpierw, że myślenie o rzeczach wzniosłych wyrywa nas spod wpływu podszeptów ziemskich. Nie możemy bowiem wtedy czasu, poświęconego poszukiwaniu prawdy, użyć na zadowolonie zwierzęcych namiętności... Już tylko z tego punktu widzenia wiedza jest płodnym pierwiastkiem oczyszczenia moralnego. Wszelako skutki moralne wiedzy nie ograniczają się do osobistych korzyści. Wiedza jest nie tylko doskonałym środkiem oczyszczenia moralnego jednostki: służy ona poza tym jeszcze do rozwijania w nas cnót społecznych. Katolik nie powinien się uczyć tylko dla własnej potrzeby, lecz również po to, by sprostać potrzebom społecznym. Nie powinien on pielęgnować wiedzy wyłącznie dla siebie, lecz także i dla innych.

Nie jest to czywiście powód, by posuwać się do ostateczności i głosić wespół z pewnymi utopistami, że dość w kształceniu moralnym oświecić inteligencję, by wola uzyskała sprężystość; że skoro zdamy magisterium czy doktorat, staniemy się odrazu ludźmi z charakterem. Niestety! doświadczenie mówi co innego. **Dyplomu wychowania nie wydaje się tak łatwo, jak dyplom wykształcenia.** Trzeba dać więcej niż dziesięć lat pracy nad sobą i więcej niż jeden roczny rachunek sumienia". (Por. S. M. Gillet „Kształcenie charakteru, str. 145-147).

Wielu ludzi w naszych czasach twierdzi, że wystarczy ludziom dać oświatę, aby ich uszlachetnić... Czy to prawda? Gdyby tak było, to dla czego nauka wraz z postępem materialnym nie przynosi poprawy charakteru? Dlaczego ta sama nauka, która kruszy skały, rozbija bryły metalu — często nie może zmiękczyć twardych egoistycznych serc ludzkich? Owe głośne wynalazki, chluba naszego wieku, mało naogół pomagają do wewnętrznej przemiany człowieka. Cała ich rola ogranicza się głównie do służenia materialnemu postępowi, do nagromadzenia bogactw i wygód życia. Apostołowie i mędrcy głoszący prawa człowieka i ostateczne cele jego życia, skutecznie spełniali swą wzniosłą misję bez przewodów telefonicznych i telegraficznych. W naszych czasach miliony drutów, oplątawszy pajęczą siecią całę kulę ziemską, służą przeważnie giełdowym oszustom i kłamliwej paplaninie dyplomatów i polityków.

Nauka, wiedza — to narzędzie dobroczynne, lub zgubne stosownie do tego, jak się nią posługujemy. Samo bowiem oświata naukowa ćwiczy tylko rozum i jeżeli człowiek zdobywający wiedzę, jest drapieżny, to wykształcenie jeszcze mu pomaga wyostrzać zęby i pazury. Samo nauczanie nie może zmusić do wyrzeczenia się złej doli, która jest ruchem wewnętrznym, podlegającym jedynie głosowi sumienia i serca. Moralne zatem odrodzenie człowieka, urobienie jego charakteru zależne jest od kultury serca i sumienia. Główną tu dźwignią staje się religia. Tylko człowiek, liczący się z głosem sumienia, może przemienić swą wolę i może swój naturalny egoizm poddać pod wyższe cele, jak dobro bliźniego lub dobro ogółu. Nauka więc może pomóc do moralnego odrodzenia człowieka, ale tylko wówczas gdy współdziała z religią. Tragedią dzisiejszej wiedzy jest to, że nastąpiła przewaga intelektu nad innymi władzami — uczuciem i wolą człowieka.

Przeciwko tej tragedii wiedzy nowoczesnej protestował już De Maistre, który wołał: „Obciążona ładunkiem ksiąg suchych — wlecze się wiedza europejska... zadyszana po drodze prawdy a zawsze z pochylonym ku ziemi czołem" (De Maistre. „Les Soirees"). Przeciwko rozdarciu wiedzy nowoczesnej pisze Bergson: „Nieszczęściem jest, że z wiedzy współczesnej nie wypływa żaden program działania... Nasza wiedza zajmuje się jedynie gołowymi zjawiskami... Jest teorią spożycia" (Bergsou „Essai sur del données immediates de la conscience").

Nasi wychowawcy mniemają często, że można poprzestać na nauczaniu t. j. tresurze mózgu... Zapominają, że przede wszystkim trzeba nauczyć czegoś innego, mianowicie — wychować siłę woli. W naszych czasach zdaje się egzamin ze wszystkiego, tylko nie z siły charakteru. (KAP).

Z obcej niwy

Teoria dwóch „bloków" i religia

Często słyszy się i czyta, że ludzkość rozpada się na dwa „fronty", czy „bloki". Wskazuje się nawet na Hiszpanię, gdzie już doszło do zderzenia między nimi.

Nie ulega wątpliwości, że przechodzimy okres ścierania się z sobą dwóch frontów: komunistycznego i tego drugiego, który czasem nazywają faszystowskim, kiedy indziej hitlerowskim. Walka toczy się o przyszłość świata, a jego formy cywilizacyjne, o duchową treść kultury przyszłości. Skutkiem tego sprawa czysto politycznego starcia zmienia się w sprawę konfliktu kulturalno-moralnego. I tak katolicyzm staje wobec niezmiernie ciekawego, ale i skomplikowanego zjawiska.

Kwestię tę porusza we wstępnym artykule paryskiej „la Croix" z 21 stycznia br. naczelny redaktor tego dziennika, Ks. Leon Merklen, w artykule zatytułowanym: „Blok przeciw blokowi". Są to uwagi zbyt może ogólne, ale dość szczegółowe dla tych, którzy je z uwagą odczytają.

Często — pisze Ks. Merklen — słyszy się zdanie, że dobro państwa i religii może być zagwarantowane jedynie przez powstanie Bloku ludzi dobrze myślących przeciw Blokowi przeciwników ustroju społecznego i wiary chrześcijańskiej.

Zapewne, zjednoczenie szlachetnych ludzi, „zwolenników ładu", przeciw komunizmowi, rewolucji świadomym lub nieświadomym niszczycielom wielkości narodu i moralności publicznej, zawsze było w naszym kraju równocześnie z ideałem trudnym do realizacji w czasach zwyczajnych, i obowiązkiem, który w okresie kryzysu i w godzinach niebezpieczeństwa wojennego był uznawany przez wszystkich dobrych obywateli.

Lecz całkiem inną rzeczą jest tworzenie bloku politycznego, z jego wodzami, programem określonym i szczegółowym, z jego walkami nieuniknionymi i zażartymi, zwłaszcza kiedy blok ma być czymś więcej, niż partią i zmierza do rozdzielenia obywateli jednego państwa na dwa fronty. Jest to już przygotowanie wojny domowej...

W najgorętszych walkach, które nas rozdzierają, pomimo pozorów i naprzekór sztandarom, są pewne punkty etyczne: pewne chrześcijaństwo mgliste, nawet u wrogów naszej wiary, — potrzeba bezinteresownego apostolstwa i szlachetnego poświęcenia nawet u tych, którzy z pierwszego wejrzenia wyglądają na przeciwników potrzebnych reform politycznych i koniecznych zmian społecznych.

Ktoś może mi na to powiedzieć, że i tak świat rozpada się siłą konieczności na dwie armie, — przyjaciół dobra i prawdy, i wrogów. Rozróżnienie to jednak — wzięte zbyt dosłownie — nie pokrywa się ani z głosem religii, ani z nauką doświadczenia.

Na „końcu czasów" ludzkość rozdzieli się na zawsze na potępionych i zbawionych. Na razie jednak sytuacja ludzkości wygląda inaczej. W duszy nawet największego zbrodniarza łaska Boża pracuje nad wzbudzeniem uczuć skruchy i świętości; z drugiej zaś strony dusza nawet najdalej posunięta na drodze doskonałości jest — w razie braku wieczności — narażona na niebezpieczeństwo moralnego upadku lub niewiary.

Prawie wszędzie w świecie zło miesza się z dobrym, a dobro ze złym. Zamiary złe psują czyny obiektywnie dobre.

Byłoby — zdaje się — uproszczeniem sądu zwrócić nasze myśli i nasze działanie na jedną tylko stronę, zjawiska, a to z chęcią uzyskania bezpośredniego rezultatu, który odrazu miałby rozgłos; ten jednak sposób działania byłby szkodliwy dla przyszłości i ścieśniałby katolicki uniwersalizm.

Skutkiem tego Kościół — stosownie do okoliczności — na jednym przejawie myśli religijnej będzie opierał raz pewien warunek ustroju społecznego lub pewną konieczność życia chrześcijańskiego, — kiedy indziej inne, które nie przeciwstawiając się pierwszym będą stanowiły dla nich uzupełnienie.

Oto, dlaczego my, katolicy, winniśmy w okresie burz pozostać samymi sobą.

Nasza mistyka — a to wyrażenie nabiera tu właściwego znaczenia — może w przeciwstawianych nam rodzajach mistyki spotkać idee słuszne i rzeczywiste potwierdzenie. — Lecz identyfikować ją z tymi ludzkimi i niedoskonałymi systemami mistyki było by nadużyciem i zdradą".